

Tylko kim wtedy będziemy?

Wykład Wojciecha Tochmana* na konferencji „Oddajmy się lekturze”
8 grudnia 2014 roku

Poproszono mnie, abym powiedział tutaj, czy i ewentualnie dlaczego warto czytać. Każda odpowiedź na tak postawione pytanie, pytanie skądinąd ważne, która przychodziła mi do głowy w ciągu ostatnich kilku dni, wydaje się mało odkrywczą. Nie będę więc opowiadał Państwu banałów, zwłaszcza, że Piotr Pacewicz, który mnie tu zaprosił, przykazał mi mówić treściwie i krótko, najwyżej 10 minut.

Jeśli Państwo pozwolą, opowiem raczej o tym, jak książki czytane w szkole, w moim wieku szkolnym, wpłynęły na moje dalsze, dorosłe życie.

Bo to książki zdecydowały o tym, kim dzisiaj jestem.

Oczywiście czytałem i Reja i Kochanowskiego, bo mi kazali, Mickiewicza i Słowackiego - też, nad lekturą Konrada Wallenroda nawet chyba drżało moje polskie serce, a już na pewno przy Wielkiej Improwizacji i przy Słowackiego hymnie „Smutno, mi Boże”. Gorzej było z Orzeszkową, z Reymontem, z Żeromskim – udało mi się jakoś w szkole tych autorów nie przeczytać. Może dlatego, że obowiązkowe czytanie jakiegokolwiek książki budziło i wciąż budzi we mnie sprzeciw. Czytanie czegoś na rozkaz mi nie odpowiada.

Tak, czy inaczej mam się chyba czym chwalić: zdałem maturę bez znajomości „**Nad Niemnem**”, „**Chłopów**”, „**Szyfowych Prac**”. Choć oczywiście na ewentualne maturalne tematy dotyczące tych tytułów byłem świetnie przygotowany. Ich wartość doceniłem po latach, kiedy sięgnąłem po te tasie, już jako dorosły autor. Chciałem zobaczyć, jak wtedy opisywano świat. I na pewno nie był to czas zmarnowany. Wszystkich tych autorów powinniśmy czytać, powtarzać ich sobie, my ludzie dorośli, dla higieny naszej własnej polszczyzny.

Ale w szkole czytałem inne książki.

Najpierw te z półki moich rodziców. Czytałem wszystko, jak leci, często nocami, z latarką pod kołdrą, ale z tamtego czasu właściwie nie pamiętam żadnego tytułu, żadnego nazwiska autora czy autorki.

Poza dwoma. To Hanna Krall i Ryszard Kapuściński.

Pierwsza moja Krall: „**Na wschód od Arbatu**”, kiedy miałem dziesięć lat. Krall dokumentowała tę książkę w roku, w którym się urodziłem: 1969. Autorka opisywała jakiś daleki, niedostępny świat, jakichś dalekich ludzi – obywateli Związku Radzieckiego zachłyśniętych z jednej strony życiem w Kraju Rad, a z drugiej strony szukających osobistych przestrzeni wolności przez ten kraj systematycznie ograniczanych. Krall pisała o tych dalekich ludziach z tak niebywałą czułością, ale nie tkliwością, z tak wielką wrażliwością, bliskością, że ja tych jej bohaterów ujrzałem przed oczami.

Wydawało mi się wtedy, miałem 10 lat, że jestem wśród nich i czuję to, co oni czuli. To było olśnienie. I ja, proszę państwa, w tym pisaniu Hanny Krall się zakochałem.

A Kapuściński? Moją ukochaną od wtedy do dzisiaj książką Ryszarda Kapuścińskiego jest „**Szachinszach**”. Nie skończyłem jeszcze 15 lat, gdy u mojego ojca zobaczyłem tę książkę na biurku. Od tamtego czasu, czytałem ją ze 25 razy. Dziś wiem, dlaczego opowieść Kapuścińskiego o rewolucji w Iranie tak mnie zafascynowała. Bo „Szachinszach” to podręcznik pracy reportera: autor pokazuje, jak pracować w obcej, hermetycznej kulturze, w warunkach rewolucji, kiedy nie znamy języka i mamy nie za wiele czasu. Kapuściński posługuje się tam fotografiami zobaczonymi w teherańskich muzeach, cytuje prasę i rozmaite książki, notuje własne refleksje i z tego wszystkiego buduje napakowaną szczegółami historię Iranu, jego Szacha i historię dojścia do władzy Chomeiniego. Reporterski majstersztyk. Oczywiście, kiedy miałem 15 lat, nie umiałem tak tego nazwać, ale już wiedziałem, że chcę kiedyś pracować, tak jak On.

I jak Hanna Krall.

Sięgnąłem potem po Kischa, Hamigwaya, Capote. „**Z zimną krwią**” Trumana Capote jest oczywiście książką kanoniczną, dla wszystkich, którzy cenią sobie literaturę non-fiction.

Zawsze lubiłem książki, które nie były zmyśleniem. Dlatego może bliski mi jest Bolesław Prus. Powiedzenie, że jego „**Antek**” jest reportażem byłoby ryzykowne, ale ja lubię sobie tak o tym tekście myśleć. Czy w ogóle o realistycznej prozie naszych pozytywistów. Wśród tekstów Prusa, Orzeszkowej, Konopnickiej, Sienkiewicza czy Aleksandra Świętochowskiego możemy znaleźć dla siebie prawdziwe prawie dokumentalne perełki. Ponieważ zawsze wolałem książki niezmyślane od tych wymyślonych, tu przeskakuje kilka epok do przodu. Jedną z najważniejszych lektur, które przeczytałem w szkole są „**Medaliony**” Zofii Nałkowskiej. Muszę tu o tym reportażu powiedzieć, choć jednym zdaniem. Ta wielka mała książka wpłynęła na mnie, na moje zawodowe życie, jak mało która. Książka, która – niestety – nie jest zmyśleniem, a jest wybitną literaturą.

Żyjemy w przekonaniu, że wiemy o świecie coraz więcej. A wiemy coraz mniej. Nie neguję potrzeby czytania tzw. literatury pięknej: Kocham pisanie Olgi Tokarczuk „**Księgi Jakubowe**” mam zaplanowane na nadchodzące Święta, fantastyczny czas na czytanie; cenię pisanie Magdaleny Tulli, czy wspaniałe głębokie i piękne książki Tahara Ben Jelloun’a - marokańczyka piszącego po francusku, który zasługuje na Nobla, ale sądzę, że to literatura faktu jest nam niezbędna do lepszego poznania i zrozumienia świata. Serwisy informacyjne nie tłumaczą go. Publicystyka przekazuje nam wiedzę zwykle w pigułce i pełną uproszczeń, zawsze odartą z tego, co nam najbliższe, ludzkie. A nic nas tak nie ciekawi jak inni ludzie i

ich osobiste doświadczenia. Literatura faktu zajmuje się ludźmi, którzy żyją albo żyli naprawdę, a nie tylko w czyimś zmyśleniu, powieści, opowiadaniu. Są czytelnicy, którzy zmyślenia już nie chcą. Albo chcą, jak ja, ale tylko takiego, które jest arcydziełem. Na inne zmyślenia już szkoda mi czasu. Nie mam czasu i siły na czyjeś wymyślone życie, wymyśloną miłość, cierpienie, wymyśloną rozpacz, pogardę, na czyjeś wymyślone umieranie i wymyśloną śmierć.

Zbyt dużo prawdziwego dramatu dzieje się wokół nas.

Teraz, dzięki telewizji i internetowi, mamy do niego łatwy dostęp, nawet jeśli rozgrywa się po drugiej stronie globu. Reporterzy pisząc o pojedynczych ludziach, pokazują, jak bardzo jesteśmy różni, a jednocześnie jak bardzo – na całym świecie – jesteśmy tacy sami.

Pozwalają nam poczuć bliskość z opisywanymi, to budzi w nas empatię. Tę niezwykłą więź między prawdziwym bohaterem, prawdziwym czytelnikiem, autorem. Nawet jeśli opisywani ludzie mieszkają na Haiti, my otwieramy się na ich ból i staramy się pojąć, co tam się stało.

Solidaryzujemy się z Innym. Takie emocje towarzyszą mi, kiedy u Norweżki Asne Seierstad czytam o czeczeńskich sierotach żyjących w ogniu wojny. Chodzi mi o jej książkę „**Dzieci Groznego**”. Autorka teleportuje mnie w tamten świat i każe mi być jego uczestnikiem. Dramat Czeczenii, dramat tamtych ludzi, w jakimś stopniu staje się moim dramatem. Mój osobisty proces poznawania i rozumienia Czeczenii dzięki tej opowieści dokumentalnej domknął się. Najpierw niewiele wiedziałem, potem coraz więcej, w końcu gazety dużo o wojnach w Czeczeni pisały, coraz więcej rozumiałem, ale niewiele w tej sprawie czułem. Mówiąc szczerze: nic nie czułem. Dramat ludzi żyjących w Czeczeni mnie nie obchodził. Dopiero autorka tej ważnej książki pozwoliła mi poczuć wielką czeczeńską rozpacz, czeczeńskie cierpienie.

To tak jak w psychoterapii. Jeśli zrozumiesz, co się z tobą dzieje, ale nie przeżyjesz tego całym sobą, proces naprawy się nie dokona. Z wiedzą o świecie jest podobnie: jeśli już wiesz, jeśli już rozumiesz, to i tak proces poznania się nie dokończy, jeśli nie poczujesz. Literatura faktu daje nam wszystko, czego potrzebujemy: wiedzę, wyjaśnienie i uczucia. Ale, powtarzam to wielokrotnie: literatura non-fiction to nie jest bułka z masłem.

Literatura faktu to dla czytelnika pułapka. Bo wikła nas w czyjeś prawdziwe życie, prawdziwe cierpienie, prawdziwe choroby, prawdziwą radość, prawdziwą miłość, rozpacz, tęsknotę, pogardę, prawdziwą nienawiść, prawdziwe kule, prawdziwe maczety, prawdziwą broń chemiczną, prawdziwe umieranie i prawdziwą śmierć.

Bądźmy ostrożni.

Każdy musi sobie, jak sądzę, odpowiedzieć, czy jest na te sidła gotowy/gotowa? Czy chce się dać złapać w ten potrzask, z którego prawdopodobnie nie ma odwrotu, nie ma wyjścia. Bo może wygodniej nam będzie, na pewno spokojniej, łatwiej, kiedy czytać nie będziemy. A już na pewno, kiedy nie będziemy czytać literatury faktu. Tylko, kim wtedy będziemy? Zostawiam Państwa z tym pytaniem, czy może raczej Państwa uczniów, i życzę wszystkim owocnych obrad.

*Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej literatury faktu. Debiutował już w liceum reportażem o szkolnej szatni, który ukazał się w tygodniku „Na przełaj”. W 1990 r. do pracy w dziale reportażu „Gazety Wyborczej” przyjęła go Hanna Krall, potem uczył się m.in. od Małgorzaty Szejnert. W tekstach staje zawsze po stronie ofiar, ludzi cierpiących, wykluczonych, słabszych. Od 1996 do 2002 r. prowadził w TVP1 program "Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie", założył też Fundację ITAKA poszukującą zaginionych i pomagającą ich rodzinom. Z bolesną precyzją opisał tragedie w Bośni (książka „Jakbyś kamień jadła”), Rwandzie („Dzisiaj narysujemy śmierć”), pisał o slumsach w Manili („Eli, Eli”). Finalista nagród literackich Nike, Temoins du monde Radia RFI, Angelus. Tłumaczony na angielski, francuski, niemiecki, włoski, szwedzki, fiński, ukraiński, rosyjski, niderlandzki i bośniacki. W 2009 r. wraz z Pawłem Goźlińskim i Mariuszem Szczygłem założył Instytut Reportażu, gdzie wyklada i współtworzy magiczną kluboksięgarnię „Wrzenie Świata”.